

Bal klejnotów

500 detektywów czuwało na zabawie

Londyn, w czerwcu.

W salonach jednego z najwytworniejszych hotelów londyńskich urządzono ostatnio wspaniały bal z rewji klejnotów. Od samego wejścia poprzez hall i schody wiodące do sali balowej stali podwójnym szpalerem lokaje w czerwonych frakach, białych spodniach, w lśniących, jak zwierciadła, lakierowanych pantoflach ze srebrnymi klamrami, lokaje w białych perukach — lokaje najdziwniejsi pod stołcem, gdyż byli to przebrani detektywi. Nie dziwnego jednak, że tyłu agentów Scotland Yardu, zatrudnionych było tego wieczoru na balu w hotelu „Empir”. Nie dziwnego też nie było i w tem, że drugim tyłem wejściem, przeznaczonym dla służby, wchodzili do wnętrza hotelu czarno ubrani panowie z małymi walizkami w dłoni. Każdemu z tych panów towarzyszyło dwóch innych gentlemanów, którzy, przy wejściu okazywali czuwającemu portjerowi metalowy znaczek ukryty pod kłapą marynarki. Nic w tem, jak się rzekło, nie było dziwnego — gdyż bal, który miał się odbyć w hotelu, był to najbardziej rewelacyjny bal sezonu: Bal klejnotów.

Impreza ta gromadzi corocznie najwytworniejsze towarzystwo stolicy Anglii. Atrakcją balu jest 10-minutowa rewja wspaniałych klejnotów. Klejnotów dostarczają największe firmy jubilerskie Londynu, a roli manekinów w tym wypadku podejmują się bardzo chętnie piękne panie z arystokracji.

SKARBIEC W ŁOŻY PORTJERA

Czarno ubrani panowie, którzy przyjechali z małymi walizkami, to właśnie jubilerzy, którzy przywieźli bezcenne klejnoty na rewję. Wchodzą wszyscy do strze-

żonej przez detektywów łoży portjera i tam otwierają czarne pudła, w których na kolorowym akksamicie spoczywają wprost bezcenne skarby. Kiedy wydobywają te wszystkie światłości, łoża portjera zdaje się przeistaczać w jednej chwili w jakąś bajeczną jaskinię klejnotów. Na dany sygnał wchodzi kolejno do łoża damy z arystokracji, we wspaniałych wieczorowych toaletach. Siadają kolejno przed ustawioną tam specjalnie w tym celu toaletą o wielkim lustrze, a jubilerzy ozdabiają swoje modelki biżuterią. Ogółem biżuteria zgromadzona w łożu portjera warta jest około 100 milionów szylingów. Kobiety zasiadające przed zwierciadłem zdają sobie sprawę z niesłychanej wartości wspaniałych drogocennych kamieni, które włożą na siebie za chwilę. I żadna z nich nie wyrzeknie się za nic na świecie przeżycia takiego 10-minutowego snu w blasku klejnotów, gdyż pokaz nie trwa dłużej nad 10 minut.

Drżące ze wzruszenia, przysmakując oczy jakby oślepięte blaskiem diamentów i pokornie podając się dłońmi jubilerów, opasujących ich szyje beczennymi naszyjnikami.

Po chwili wszystkie już są gotowe. Między podwójnym szpalerem detektywów w kostjumach lokajów, podążają na górę. Za kordonem detektywów tłoczą się zwykli śmiertelnicy, którzy chcą za wszelką cenę zobaczyć te niesłychane skarby, o których im się na wet nigdy nie śniło, gdyż wartość tych klejnotów przechodzi pojęcie zwykłego śmiertelnika. W tym momencie przejścia modelki z łoża portjera na górę do sali balowej cała służba hotelowa, cały personel zatrudniony w kuchni, porzuca swoje zajęcie i gapi się z otwartymi ustami na lśniącą tyśiącem blasków bajkę Szeherazady. Błyszczy różnokolorowym światłem diamenty, płoną szafiry i szmaragdy, czarne perły odcinają się wspaniale od białych ramion kobiecych, naszyjniki z rubinów i brylantów drżą na dekoltach pięknych kobiet. Jest to istna orgia blasku i gry barw.

WSPANIAŁY DJADEM

Na balu klejnotów obecni byli ks. Kentu wraz z małżonką. Przed książeczą parą defilowały więc obspane klejnotami modelki. Sensację wzbudziła lady Warrender, która wystąpiła jako „djamant”. Urodziwa kobieta wyglądała jak jakieś bóstwo, a dżadem, który miała na głowie, przekraczał pojęcie o wspaniałości drogich kamieni. Ponadto lady War-

render miała na palcu pierścionek z brylantem, który miał ni mniej ni więcej, tylko półtora cala średnicy a w naszyjniku jej błyszczały wspaniały diament Nassac, załamujący w ten sposób promienie światła, że zdawał się grać wszystkimi kolorami tęczy. Lady Warrender wywołała sensację i reżen-towaniami na sobie klejnotami, których wartość oszacowana została na 15 milionów szylingów.

Lady Monut - Temple, która właściwie zaaranżowała ten bal klejnotów, wystąpiła jako królowa szmaragdów. Kamienie, które połyskiwały w jej dżademie, mogły śmiało znaleźć się w niejednym skarbcu królewskim lub cesarskim. Sensacja wieczoru były czarne perły p. Kenneth Wagg. Poarójny sznur tych czarnych łez otaczał jej smukłą, białą szyję. Perły te, jak oświadczył jubiler, zostały zakupione już jako podarek ślubny dla jednej z księżniczek wschodnich. Jako przeciwstawienie o pani Wagg, lady Inch cape wystąpiła jako „biała perła”. Sznury pereł opłatały jej szyję i ramiona. W uszach miała

wspaniałe kolczyki z pereł, a na prawej ręce miała rękawicę całkowicie naszytą perłami. Było to nietyle piękne, ile bogate.

Wszystkie damy przedelfowały przez salę balową, poczem nastąpiło zdjęcie, które zamieszcza później wszystkie ilustrowane pisma angielskie. 10 minut zaczarowanego snu upłynęło. Piękne modelki z westchnieniem zeszły znów na dół do łoża portjera, aby zostawić tam klejnoty, w których królowały przez 10 minut. Wróciły na górę już jako zwykłe śmiertelniczki i jak zwykle śmiertelniczki zaczęły tańczyć w takt balowej muzyki. Ale na dnie duszy pozostała niepokojąca tęsknota do lśniących klejnotów. A tymczasem klejnoty te zniknęły znów w czarnych pudrach, czarno ubrani panowie odprowadzeni przez dwóch innych czarno ubranych panów ze znaczkami detektywów pod kłapą marynarki waledli do ant i odjechali w towarzystwie agentów Scotland Yardu, czuwających nad całością wiezionej biżuterii.



Recenzja z podwórka

Mam dobre miejsce siedzące w drugim rzędzie okien. Stąd mogę ogarnąć spojrzeniem całą arenę warszawskiego podwórka. Spektakl ciągnie się od rana do wieczora ze wzmoczoną atrakcyjnością około południa. O tej porze sceny podwórka zostaje wypełniona obficie programem, dając mocne efekty dźwiękowe.

Sygnalem rozpoczęcia spektaklu bywa zazwyczaj piekielny łoskot trzepanych dywanów. Po chwili dołączają się zdołu odgłosy strojonych instrumentów. Po ciagiem wtedy za sznur rolety, która w tym wypadku zastępuje kurylę, zajmując środkowe miejsce w drugim rzędzie okien i spoglądam na gromadzącą się na podwórzu symfoniczną orkiestrę. Instrumentacja bardzo oryginalna — przeważają gitary i mandoliny, choć nie brak również okaryn i harmonijek ustnych. Uderza zdrowy i czerstwy wygląd muzyków, którym wspaniale ogaryżanych twarzy mogłoby pozazdrościć bladość i wycieńczenie kolesi z Filharmonji. Orkiestra wykonuje w skupieniu kilka utworów Szlechtera, Własta, lub Hemara, trzymając się ściśle taktu bijących w dywany trzepaczek. Po koncercie spadają z okien owine nie w gazetę leniwe pierożki, czasem sfrunie całus przesłany ręką z kuchennego okna, a czasem, ale to bardzo rzadko, spadnie jak manna z nieba, pojedyncza pięciogroszówka.

Niestety, orkiestra zmuszona jest opuścić podwórze, bo już w bramie czeka następna orkiestra z podobnie urozmaiconym repertuarem.

W międzyczasie małe intermezjo do handlowe:

— Handl! handl! handl!

Jedno skinienie ręki i oto po chwili wyzbywam się jesionki, koldry watawanej i jednej pary butów na korzyść naszych mniejszości. Wzamian otrzymuję 1 zł. 50 gr., które obiecuję sobie zanieść do PKO, traktując to jako podwalinę przyszłych oszczędności. W godzinach poobiednich produkuję się widownia podwórka. Grają okna. Wyciągają subtelne kanarkowe trele fortepianowe pięciopalcówki, djalogi międzykuchenne, jazzband trzepaczek, ubijających pianę, ale wszystko to ginie w ogólnym, potężnym akordzie kilkudziesięciu głośników grających jednocześnie ze wszystkich miast świata.

— Niech wie cała kamienica, że i my mamy 8-lampową Superhete rokatarynę! Wszystkie okna narościę!

Wówczas dopiero podwórze żyje i tętni rytmem wszechświata.

Stugębny moloch gada, ochryplą, stukrotnie wzmocnioną gardzielią.

— Meine Damen und Herren!

Każdy z nas docenia w zupełności potrzebę stosowania nawozów sztucznych... fintenego calonno devenemiento uzurpatori de signa illuminatione sublokatori!... profesor Wacław Kowalewski... deszto, szigetto abodja dekuta szaszło papryka... hejnał z wieży Marjaciej, trel kanarka, handl! handl! handl! Beethoven, Karasiński, Wagner i Kataszek, Włast i hodo-wła nierogaczyny i handel i handel i jeszcze raz okaryna i lentwe pierożki!

Specjalna komisja zbadała niedawno przyczyny hałasu ulicznego. Zapraszam szanowną komisję do mojego domu, wstęp darmo. Dru-gie piętro od podwórza!

Jur.

MORZE I GÓRY...

IDEALNY WYPOCZYNEK WŚRÓD CUDÓW PRZYRODY

ZAPEWNIĄ WYCIECZKA MORSKA

NA FJORDY NORWEGJI

KOMFORTOWYM STATKIEM „KOŚCIUSZKO”

OD 4 DO 20 LIPCA 1935 R.

CENY od 350 zł.

WRAZ Z CAŁKOWITYM UTRZYMANIEM

INFORMACJE I ZAPISY:

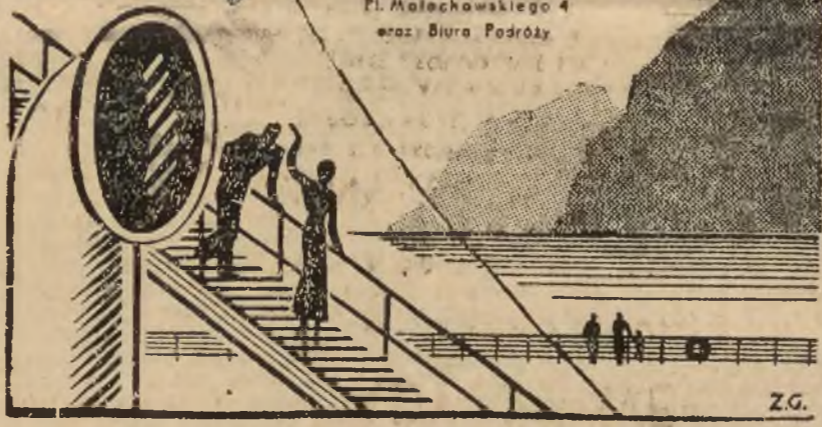
GDYNIA — AMERYKA

LINIE ŻEGLUWOWE S.A.

W A. R. S. Z. A. W. A.

Pl. Molechawskiego 4

oraz: Biuro Podróży



Antoni Marczyński

100

Zemsta Hindusa

Powieść egzotyczna

Wydarzyło się to w tem miejscu, w którym ganek poprzeczny łączył się pod kątem prostym z drugim rowem strzeleckim, skąd biegł dalej prostopadle, ale nie w jednej linii z poprzednim swoim odcinkiem. Dwaj Hindusi, noszący lotnika, skręcili właśnie w drugi rów, gdy Prakasza zaczął nogą o jakiś drut i omal nie runął, jak długi. Powstrzymał go przed upadkiem ściana rowu, odbił się od niej, pobiegł za towarzyszem, który już ponownie skręcał w wylot drugiego odcinka poprzecznego ganku. Dopędził ich w paru skokach, a w tej chwili łysnęło się, huknęło potężnie i grad bryl ziemi łnął na uciekających.

— Niech djabli tych Szkotów, — krzyknął Prakasza, ochłoniwszy z wrażeń po tak bliskiej eksplozji, którą sam spowodował. Zastawili na Niemców pułapki z ręcznych granatów. Całe szczęście, że to ja, ostatni, zahaczyłem o drut, a nie wy. No, i że ten zakręt! Byłaby z nas rzadka marmelada...

— Przez niego! — wybuchnął sanitariusz, biegnący tuż przed Prakaszem i trzymający nosze za tylne drążki. — Przez niego wylecimy w powietrze na drugiej minie. Przez niego gaz...

— Nie gadaj, bo się zadyszysz.

— Jego nie uratujemy, a sami zginemy. Przez niego!

— Raczej przeze mnie, — odparł Prakasza spokojnie, — nie on was zatrzymał, tylko ja, przyjacielu.

— Obojętnie przez kogo, — wtrącił pierwszy sanitariusz, — dość, że zginemy. Spójrz, wszyscy już uciekli. Okopy, jak wymiecione.

— Nie rozglądaj się, tylko patrz pod nogi, żebyś nie nadepnął

drutu jakiej miny Szkotów. Udało się nam raz, ale nie trza kusić licha.

— Gaz pewnie już ogarnął pierwszy rów.

— Nie pleć. Gaz jeszcze nie dotarł do samolotu.

— Do samolotu, — powtórzył lotnik, który ocknął się z omiedlenia na chwilę przed detonacją ręcznych granatów z szkockiej zasadzki.

Prakasza zerknął na zegarek. Ostatni raz uczynił to wówczas, gdy zabrzniały trąbki w okopach. Od chwili alarmowego sygnału upłynęła minuta i piętnaście sekund, czyli gaz docierał teraz do drugiego rzędu zasieków, za parę sekund miał ogarnąć pierwszy rów strzelecki i przylegające doń ziemianki; zatem kolega sanitariusz miał rację!

— Przedzaj, chłopcy, przedzaj, przedzaj!

— Jak tu biec przedzaj z takim ciężarem!

— Rzućmy go, inaczej nie zdążymy zwać.

Tamci znów zaczęli swoje i znowu Prakasza musiał gorąco ująć się za „nieszczęsnym, zemdlonym bliźnim”. Klócili się z sobą oczywiście po angielsku, bo jakże inaczej zdoła porozumieć się z sobą trzech Hindusów, pochodzących każdy z innych okolic wielojęzycznych Indji. Dzięki temu lotnik zorejntował się szybko w położeniu; wiedział, że w oczekiwaniu rychłego ataku gazowego wojsko opuściło okopy, że fala oparów chlorowych zbliża się nieuchronnie, że spośród tych trzech sanitariuszy dwóch chce go pozostawić na pastwę losu, by uratować własne życie i że tylko ów trzeci, biegnący za noszami człowiek wstawia się za nim. Jego głos był dziwnie znajomy. Ach, prawda, to ten sam, który samopas wyruszył na niebezpieczną wyprawę do przewróconego samolotu.

— Jeśli mnie oczy zaczęły szczypać, rzuć nosze, żebyś nawet miał do mnie strzelać!

— Dobrze, — odparł Prakasza, uśmiechnąwszy się smutno.

Nie powiedział głośno tego, co myślał, mianowicie, że jeśli uczują pieczenie w oczach, będą już zgubieni bez ratunku. Będzie to

bowiem znaczyło, iż fala gazowa ich dopędza. Fala płynie z szybkością pięciu metrów na sekundę! Dobry sprinter na bieżni mógłby uciec przed jej pościgiem a i to pod warunkiem, że gonitwa nie trwałaby dłużej, jak czterdzieści sekund. A tutaj biegli obciążeni sporym balastem, bieglili wąskim, niezawasze prostym gankiem i gonitwa mogła trwać kilkanaście minut.

— Właściwie nie mamy żadnych szans ocalenia, — mruknął Coś podobnego musiało przyjść na myśl lotnikowi, bo odezwał się nagle:

— Zostawcie mnie tu, koledzy. Nawet beze mnie trudno będzie wam uciec. Nie chciałbym mieć na sumieniu waszych...

Dalsze słowa zagłuszył ryk armat. Artylerja tego odcinka rozpoczęła ogień zaporowy, aby zabezpieczyć opuszczone okopy przed inwazją Niemców, wyekwipowanych w maski gazowe. Zatrąkotały też kulomioty.

— Ocho, zapalili reflektory!

Wszystkim czterem poprawiło się samopoczucie. Woleli stołroć piekło wrzawy bojowej, niż przekłątą ciszę śmierci, jaka panowała tu dotychczas. Prakasza od razu przyszedł na myśl, że fala gazowa nie może posuwać się wciąż z jednakową chyżością, gdyż chlor, jako gaz dwa i pół razy cięższy od powietrza, trzyma się jak najbliższej ziemi i chciwie zapelnia wszystkie dziury, zagłębienia w terenie. A będzie mały tych zagłębień po drodze! Leje, rowy strzeleckie, ziemianki, poprzeczne kurytarze, betonowe kazamaty, w których przechowywano amunicję i t. p. skarby.

— Przedzaj, chłopcy, uciekniemy napewno!

Tak mu się zdawało, gdy szczęśliwie mijali ostatni rów. Teraz wyszli na wierzch, nie chcąc tracić czasu na szukanie wiodącego na tyły ganku, którego wylot musiał znajdować się gdzieś dalej z boku. Jasno tu było, aż za jasno, bo niektóre reflektory świeciły im prosto w oczy i oślepiły. Przewidując Prakasza zsunął towarzyszącą daszki czapek niżej na czoło

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dla polityczny i ekonomiczny) 6.36.01 (dla literat. i literat.); 6.66.53 (międzyimielstowy) Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zgoda 691.64; Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cegłanka 26, tel. 136.
PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa wraz z cotygodniowym dodatkiem literackim „Prosto z Mostu” zł. 2.90 miesięcznie; wraz z dodatkiem Sienkiewicza zł. 3.90 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-ej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł, lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobnie po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.